

Adam Wiaryga-Minieski.

# MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich.

23

Zbladł. Oczy mu zaiskrzyły się. Wpatrzył się w Józję, jakby ją chciał tym wzrokiem przepalić.

— Jeżeli pani prosi... — wycedził.

— Tak, proszę. Dowidzenia.

— Moje uszanowanie pani.

Sklonił się ceremonialnie, ale kiedy mu podała na pożegnanie rękę, ścisnął tak mocno, jakby chciał jej pogruchotać palce.

Józja wyrwała rękę, przerażona tym gwałtownym uściskiem i dziko błyszczącymi oczami Łuniewskiego.

Spiesznie wbiegła do sklepu.

— Niech pani tylko zbyt dużo niepotrzebnych sprawunków nie robi. Szkoda pieniędzy — rzucił za nią złośliwie.

Nie słyszała może, bo nie obejrzała się nawet.

Łuniewski pozostał sam na ulicy z kapeluszem w ręce, dygocząc z gniewu. Pod serce wkręcała mu się śruba ostrego, dokuczliwego bólu.

Podniósł rękę do skroni, w których go nieźnośnie łupało. Powrócił nerwowo ból głowy.

Chwilę jeszcze stał przed sklepem, wpatrzony w szklane drzwi.

Potem, oddychając ciężko, jakby po wielkim zmęczeniu, odszedł.

Myśli mu w mózgu szumiały, splecione bezładnie.

— Ciekawym co ona kupi?... Może wstążkę za 20 halerzy... Tak! To było dosyć wyraźne!... Ja na prawo, pan na lewo! Złękła się męża, świekry!... A może już się jej znudziłem!... Kokieta!... A może kupi ciepłe skarpetki dla pana władcy, męża!... Ha!... Ha!... H!... Psiakrew!... A niech to wszyscy dyabli!... O! Jakże mnie głowa boli!... Józju!... Józju!...

Ostatnie kilka słów powiedział prawie głośno, nie zdając sobie z tego zupełnie sprawy.

Jakiś chłopczyk w marynarskim ubranku, uczepony ręki matczynej, wskazał na Łuniewskiego paluszkami.

— Mamo, ten pan, to mówi sam do siebie...

— Cicho, Józju — powiedziała matka. — Nie zaczepiaj nikogo na ulicy i nie pokazuj palcem...

Łuniewski postyszał. Włożył kapelusz na głowę i zebrał całą siłę woli, aby nadać swojej fizjonomii wyraz normalny.

— Mówię sam do siebie? — pomyślał — Co to się dzieje ze mną... Chory jestem, czy... czy zakochany, jak szaleniec?... Ja to pozwalam tak dręczyć się kobiecie, dziewiętnastoletniej dziewczątce?!

Zatęgała nim dzika, waryacka chęć, żeby zawrócić, chwycić Józję za rękę, wywlec ze sklepu, rzucić jej w twarz najkrwawsze obelgi, a potem ją zgnieść w ramionach i zdusić pocałunkami.

Chwilę to trwało, ale było tak silne, że Łuniewskiemu piana wystąpiła na usta.

Ale ocknął się zaraz, otarł chustką twarz i spokojnie poszedł dalej.

Przeląkł się sam i zawstydził tej burzy barbarzyńskich instynktów, która zakotłowała w nim, w człowieku przesubtelnym kulturalnie.

Gdzie jego spokój ironicznego obserwatora życia?

— To ona tak gra na moich nerwach!... Nie wiem, co ta kobieta ma w sobie, jakiś szatański czy anielski czar, ale to czuję, że zaczynam szaleć!...

Stągnęła mu nagle przed oczyma słodka twarz Józji z jasnymi perłami łez na policzkach, taka jak wtedy, gdy z ust młodej kobiety wybiegała skarga.

— Pan był niedobry!...

Przypomnił sobie, iż obiecał jej, że już nigdy, nigdy nie będzie dla niej niedobry...

A czy dotrzymał?... Co to chciał zrobić przed chwilą?

Opadał w nim gniew, a natomiast wzbierała fala ogromnego rozrzewnienia.

— Biedactwo moje drogie, złote, śliczne!... Co ona winna?... Chyba tylko tyle, że istnieje i że jest jak cud... Toż przecie cudza żona!... I ona kocha tego męża!... Kocha go!...

Przestał wrzeć gniewem, ale cierpiał tem silniej.

Przechodziły obok niego dwie panie. Jedna z nich, zwiędła staruszka w staroświeckiej czarnej jedwabnej mantyli, skarżyła się:

— Proszę pani, proszę pani! Co to za czasy!... Wystąpiam się pięć godzin... Nóg już nie czuję!... Wyszturchali mnie, ubranie na mnie podarli, a i tak z niczem odeszłam... Co ja dzisiaj na obiad ugotuję?...

Chudym palcem otarła staruszka łzę, która jej wypłynęła z pod żółtej powieki.

— Taka była ciżba? — pytała towarzyszka.

— Coś strasznego!... Nic dziwnego, każdy tego ziemniaka łaknie!... Oj! Moja pani, na co to ludziom przyszło...

— Podobno jutro będą sprzedawali ziemniaki w sklepie miejskim...

— Kto się tam docisnie... Ja już od tygodnia smaku ziemniaka w ustach nie czuję!... Mięso drogie, maki niema, chleba mało — co tu jeść...

I znowu łza potoczyła się po zwiędłym, pomarszczonym policzku.

Łuniewski słyszał tę rozmowę i pomimo swego podrażnienia zastanowił się nad jej treścią.

— Ludzie płaczą, że nie mają ziemniaków i maki, że nie mają co jeść... A ja myślę o Józji, tylko o Józji...

— No tak, bo mam dosyć pieniędzy, żeby przepłacić wszystko i iść na obiad do restauracji... Tragi-komedia!...

Spostrzegł teraz, że idąc przed siebie, bez celu, zaszedł przed restaurację „pod Białym Orłem”, w której się stołował.

Jeść mu się nie chciało, ale uczył potrzebę kieliszka wódki, aby uspokoić wzburzone myśli i zagłuszyć może ten ból, który wciąż świdrował gdzieś koło serca.

Sala restauracyjna była jasno oświetlona i pełna.

Za bufetem stał gospodarz, niski mężczyzna z szeroką, tłustą twarzą i podwójnym obwisłym podbródkiem.

Byстрым wzrokiem ogarniał całą salę i kontrolował ruchy kelnerek.

Przy jednym ze stolików jakiś „urlopnik” opowiadał wszystkim chętnym słuchaczom po kolei, jak to on szedł do ataku na ręczne granaty.

Środkowy, największy stół zajmowało kilku matadorów tykowskich, stałych bywalców. Przed każdym z nich stała „bomba” piwa. Prezydował wśród nich Potyrowski, jak zawsze wyelegantowany, wyświeżony i pachnący...

Właściciel biura komisowo-handlowego spostrzegł wchodzącego Łuniewskiego i od razu stracił cokolwiek werwy. Przyciszył głos, przestał się śmiać i tak odwrócił głowę, aby mu Łuniewski nie mógł spojrzeć w oczy.

Ale Julian nie patrzył na niego, jak również nie zwracał uwagi na kogokolwiek z obecnych. Zajął mały stolik w kącie i obejrzał się za usługującą dziewczyną.

Ta spostrzegła go już i podbiegła ku niemu z jednym z najmilszych uśmiechów, jakie miała w swoim repertuarze.

Ten stały gość dawał sułtapiwki.

— Moje uszanowanie panu sekretarzowi. — Łuniewski był urzędnikiem w Centrali, więc trzeba mu było nadać jakiś tytuł — Pan sekretarz co pozwoli... Jest barani comber, barani gulasz, może być omlet z groszkiem, pierożki ze serem, z kapustą, z mięsem...

Poufale nachylając się do ucha gościa, szepnęła:

— Dzisiaj jest dzień bezmięsny, ale dla pana sekretarza może być kotlecik, albo wieprzowy, albo rozbra...

— Nie będę nic jadł — przerwał jej Łuniewski — proszę mi tylko przynieść duży kieliszek wódki — tylko mocnej, prawdziwej... Żeby nie było jakieś obrzydliwstwo „wojenne”...

— Dla pana sekretarza znajdzie się wódeczka doskonała, przedwojenna... Jaką pan sekretarz sobie życzy?... Mamy wiśniówkę, kminkówkę, starą, żubrówkę, śliwownicę...

— Niech będzie starą.

Kelnerka przyniosła po chwili spory kieliszek wódki. Łuniewski wychylił go duszkiem i rzekł:

— Jeszcze jeden taki. Albo... lepiej jeszcze dwa.

Błysk zdziwienia mignął w oczach kelnerki. Łuniewski zwykle pił bardzo umiarkowanie.

Kiedy dziewczyna przyniosła żądane wódki, Julian wziął od razu jeden kieliszek do ręki, ale przez chwilę nie podnosił go do ust, wpatrując

się dziwnym, rozpalonym wzrokiem w twarz kelnerki.

Była to przystojna szatynka z ładnymi, niebieskimi oczami i bujnymi włosami.

Łuniewskiemu przywidziało się, że jest podobna do Józji.

Dziewczyna nie zmieszała się wcale pod tem spojrzeniem, które wytlómaczyła sobie po swojemu. Przeciwnie, zadowolona bardzo, że nareszcie zdołała zwrócić uwagę eleganckiego, a tak dotychczas obojętnego pana, rozciągnęła czerwone, wilgotne usta w szerokim, wyzywającym uśmiechu.

Żłudzenie przysło momentalnie. Łuniewski wypił wódkę, postawił pusty kieliszek na stole i ostro spojrzął na kelnerkę, która stała wciąż przed nim, wspierając się rękami o blat stolika i podając naprzód swój bujny biust.

— Na co panienka czeka? — rzucił tonem rozdrażnienia — tam przy drugim stoliku wołają panienkę!

„Panienska” skrzywiła usta, w jednej chwili odsunęła się od stolika i jakimś złym wzrokiem popatrzyła na Łuniewskiego.

— Narwany jakiś!... Myszkę ma chyba w głowie, czy co!... — mruknęła sama do siebie, idąc tam, gdzie ją wzywano.

Julian spoglądał za nią i zastanawiał się, czem mu ta dziewczyna mogła przypomnieć Józję.

— Niema najmniejszego podobieństwa... Tylko mnie się coś zwiduje... Tak... Mam ją w mózgu, we krwi... I dlatego wszędzie ją widzę... Józja... Pani Konradowa Zarnicka... Przeklęty los!...

Wypił wódkę do ostatniej kropli i wahał się właśnie, czy kazać sobie podać jeszcze „dwie większe”, kiedy posłyszał koło siebie głos, brzmiały nutą przymilenia:

— Najniższy sługa pana sekretarza! Moje uszanowanie panu sekretarzowi! Jakże cenne zdróweczko?...

Łuniewski niechętnie odwrócił głowę i spojrział. Przypomnił sobie, jak przez mgłę, że gdzieś, kiedyś widział tę wypasioną fizjonomię ze szcecinowałym zarostem i małymi, chytremi, szaremi oczkami, że ktoś przedstawiał mu tego przysadkowatego jegomościa, który teraz tak „rozkosznie” uśmiechnięty, wyciąga ku niemu rękę z krótkimi, pulchnymi, jak serdelki, palcami. Nie pamiętał jednak, ani kiedy to było, ani jak się ów jegomość nazywa.

— Dobry wieczór — odpowiedział leniwie, bardzo lekko uściśnawszy podaną mu prawicę.

— Pan sekretarz pozwoli?...

Jegomość, nie czekając na odpowiedź, zajął wolne krzesło przy stoliku Łuniewskiego.

— Proszę pana, ja przedewszystkiem nie jestem żadnym sekretarzem...

Jegomość zmieszał się trochę.

— To jest... hm... wszak tytuł się należy... Jakże mam tytułować?...

— Może mnie pan wcale nie tytułować, bo mi na tem nic nie zależy... — rzucił zniecierpliwiony Łuniewski.

Nieproszony towarzysz kręcił się przez chwilę na krześle, widocznie zakłopotany.

— Ja mam do pana sekre... do pana interes — wyrzekł wreszcie.

— Interes? Do mnie?

— To jest... właściwie prośbę...

— Może pan się zwróci z tem do mnie kiedy indziej, bo w tej chwili nie jestem usposobiony do rozmowy o jakichkolwiek interesach...

— Ech! To taka drobnostka... taka drobnościczka... tylko, że dla mnie, to zawsze...

— Tutaj nie miejsce... — powiedział Julian, chcąc się pozbyć natręta.

Ale tamten nie ustępował i nie zważał.

— Ależ właśnie w knajpcie, przy kieliszku, gwarzy się doskonale... Pan sekre... pan pozwoli ze mną kieliszek koniaczku... Oni tutaj mają prawdziwy francuski...

— Nie, dziękuję... Nie będę pił.

— To może lampkę wina?... Tutaj wino jeszcze wcale, wcale...

— Proszę pana, gdybym miał ochotę na koniak lub wino, tobym sobie kazał podać — powiedział ostro Łuniewski, przesypując nerwowym ruchem sól w solniczce.

Brzmiało to zupełnie niegrzecznie, bo jegomość z wypasioną twarzą i szcecinowałym zarostem zaczynał się Julianowi coraz mniej podobać.

Zapanowała chwila milczenia. Przysadkowaty pan nie obraził się jednak i nie odszedł. Należał śnać do rzędu ludzi upartych.